Przyjaciel Ludu.

Rok drugi. **No. 50.** Leszno, dnia 11. Czerwca 1836.



Niedźwiednik.

(Gawęda stara p. Wład. Wojcickiego) *)

Śnieg zasypał drogi, pozawiewał ścieżki na podwórzu, przed dworem starego Tadeusza. Choć wiatr zimny poświstywał, i przejmował do kości, łuna z okien domu wskazywała, że w izbach tego domostwa, nie boją się mrozu. Był to dzień drugi Lutego, dzień uroczysty N. Panny gromnicznéj: chociaż dopiero siódma rano uderzyła na zegarze, pozamiatano komnaty, i wykadzono jałowcem. W izbie, jak zwano gościnnéj, gdzie na dużym kominie palił się ogień nieustanny, sie-

*) Wyjęta z Noworocznika Warszawskiego na rok 1836 pod nap. Wianek.

dział w wielkiem krześle z poręczami, stary Tadeusz; odmawiał pacierze, i w drżących ręku, przesuwał rożaniec. Miał na sobie bekiesz baranami siwemi podszytą, a bóty wielkie futrzane, świadczyły o słabości w nogach. Jakoż bez pomocy już ten starzec poruszyć się nie mógł: najczęściéj wnuczka i domownicy, z krzesłem, które kółka miało, przesuwali go na miejsce, gdzie żądał. W lecie po ogrodzie obwodzili siedzącego w tem samem krześle, które stanowiło dlań dom i powóz.

Nagle usłyszano głośny dzwonek: stary Tadeusz obrócił ku oknu siwą głowę, gdy wbiegła młoda i dorodna Anna, i z radością zawołała: Moj dziadku, pan Czesław jedzie.

A gdzie moja Jadwisia? zapytał starzec. Już idę, idę moj Tadeuszku — odezwał się głos piskliwy; i weszła wspierając się na lasce małżonka starego Tadeusza. Okryta jupką lisią, w wielkim kornecie; z pod jupki wyglądała spodnica jedwabna, w duże kwiaty; pod nią była druga biała. I łatwo ją dojrzeć, bo ile razy zapotrzebowano klucza lub szpilki, Jadwiga podnosiła jedwabną spodnicę; pod nią albowiem była kieszeń, i na wstążce niemała wisiała poduszka, pełna szpilek. W kieszeni miała okulary, igielnik, klucze potrzebne codziennie, i kilka kawałków cukru, przeznaczone dla kanarków, co w wiszącéj u okna siedziały klatce.

Moja dzieweczko, każ dać śniadanie, bo Czesław przeziąbł — rzekł stary Tadeusz, obracając się z uśmiechem do żony.

I pokazał się gość oczekiwany: w sieni zrzucił wilczurę, a wszedł w kontuszu; wysoki, kształtnéj postaci, bładego lica, oczy niebieskie, wypukłe; pełne ognia i życia, malowały młodzieńczą duszę, chociaż twarz starsze wskazywała lata. Z uszanowaniem powitał starego Tadeusza i Jadwigę; skłonił się Annie: stary wyciągnął rękę na powitanie Czesława, a młoda Anna oddała ukłon z upieczonym rakiem. Jak się waszeć miewa? ściskając rękę Czesława zapytał stary.

Zdrowo — odrzekł — tylko za zimno.

Co waszeć gadasz? w twoich latach w parciankach latałem i boso po śniegu, a niekurczyłem się wcale. — Może dawniéj nie tak zimno bywało? — A do diaska! zawołał z poruszeniem starzec, nieraz marzło pod nosem, aż trzeba było wąsy z zamrozu oskrobywać; ale była w nas krew, a u was niby to młodych, to woda chyba, że na byle mrozek, to zaraz w palec chuchacie!

Uśmiechnął cię Czesław na zapał starego, który go unosił zawsze, gdy o młodych latach wspominał. Być to może, odrzekł, albo strach dodał więcéj zimna.

Jaki strach? zapytał z podziwem. A, bo to widzi chorąży (tak bowiem Tadeusza zwali sąsiedzi) widziałem niemało wilków, i ledwiem się im wymknął.

Co waszeć gada? a to co innego! z temi bestyami niema żartu. Ja sam mało nie zginąłem: ale posil się waszeć, a po śniadaniu powiem o Niedźwiedniku dykteryjkę.

Czesław ciekawy usiadł naprzeciw starca, a Chorąży pomuskawszy czupryny, zaczął gawędę.

Żył przed 50 laty szlachcic zwany niedźwiednik: był to jego przydomek od nadzwyczajnéj siły, gdy każdego przełamał niedźwiedzia, z którym się spotkał: właściwie się nazywał Roch Dąbrowa. Postać nieukazywała bynajmniéj téj olbrzymiéj siły, którą dziwił i przestraszał. Wysoki, kształtny, topolowego wzrostu; poruszenia żywe; ręka niewielka, ale żylasta; twarz wesoła i ciągle w uśmiechu. Nosił zwykle szarą kapotę, i czapkę na lewe ucho przekrzywioną. Mieszkał w domostwie, nie wiele różniącém się od chałupy wieśniaka, mały ogród, i jeden zagon 12 łokci szeroki, a do 100 sążni długi, były całém dziedzictwem niedźwiednika. Żył pracowicie, uprawiał w pocie czoła ogródek i zagon, a w wolnych chwilach, zarzuciwszy strzelbę na plecy, szedł w obszerne knieje, na grubego zwierza, co niebyły tak puste jak dzisiaj, kiedy nie zobaczysz niedźwiedzia, jelenia, i łosia. A przecie mam kaftan łosi, i skór kilka na posłanie z łosiów, co ich sam powaliłem przed 40 laty. Gdzież dziś to zobaczysz?

I sąsiedzi okoliczni dziwili się jego łowom: nie strzelił on do zająca, ani lisa; każdego ptaka omijał: lecz za to w obszernéj puszczy nie przepuszczał niedźwiedziom, dzikom, łosiom, jeleniom, rysiom, i wilkom. Ale i w tem zachowywał szczególny zwyczaj.

Żaden z myśliwych nie widział, by użył strzelby na niedźwiedzia, chyba że niespodzianie go spotkał, kiedy nie miał swojego, jak nazywał kija. Kij ten była to pałka jak dwie ręce gruba; u góry zaokrąglona nakształt buławy: nagłówek ten był nasadzony trójkątnemi goździami grubemi, a ze środka wychodził na łokieć długi, ostry, obosieczny dziryt. Z taką bronią przyjmował zawsze niedźwiedzia, i gdy ten rozjuszony na dwóch łapach wspięty, zbliżył się do Dąbrowy, pchnął go najprzód dzirytem, a potem za jedném uderzeniem pałką, rozciągnął go u nóg swoich. Wtedy z radością, uśmiechał się, naciskał lepiéj czapkę, na lewe ucho; dobywał myśliwskiego noża, i nie tylko że odcinał, po zdjęciu skory łapy niedźwiedziowi, (ulubiony przysmak na wielkich stołach), ale nadto wykrawał pieczenie, które swemi delicyami nazywał.

Sąsiedni kmiecie często rozmawiając o nim, gdy przyszło wspomnieć o nadzwyczajnéj sile, zawsze mówili: Niedziwota, musi być mocny jak niedźwiedź, kiedy się żywi pieczeniami z niedźwiedzi.

Mimo to wszakże, nie mogli pojąć, jak człowiek tak może być zdrów i silny, nie pijąc ani wódki, ani miodu, ani piwa. Napojem zwyczajnym była u niego kryniczna woda. Nie pogardzał i futrem z lisa; ale na nie umiał tak zręcznie

stawiać samołówki, że w zimowéj porze, kiedy najlepsze skóry, nietylko, że corocznie sam się zaopatrzył w nową lisiurkę, ale za sprzedane futra nazbierał niemało grosiwa. Mówiono potajemnie, że ma dużo pieniędzy zakopanych; i musiał ich mieć wiele, bo o nic nikogo nie prosił. Samotny, bezżenny: łowy były dlań rozrywką i uciechą. Pan na jednym zagonie, sam go łatwo mógł uprawić i zebrać. Ogród warzywny, i sad pełen smacznego owocu, dostarczały mu dosyć żywności przy obfitéj zwierzynie. O! pamiętam jeszcze te gruszki, jabłka: wdzierałem się nieraz na drzewa, i strząsałem owoc, a niedźwiednik śmiał się ze swego, jak mnie nazywał, Tadeuszka. W obszernéj izbie łoże było zasłanę wilczemi i niedźwiedziemi skórami; inne rozłożone na ziemi; tu spały cztery ogromne kundle i wyżeł, a na wysokim berle siedział uczony jastrząb', którego używał na ptaki i zające.

Na cały nasz powiat niedźwiednik był osobliwością; a trzeba Waszeci wiedzieć, że wtedy u nas nie brakło na silnych ludziach, i dobrych myśliwych: wszakże wszyscy przy nim gaśli. Niedosyć, że na oszczep brał wielkie niedźwiedzie — ile razy dziedzicowi chciał podarek zrobić; a zawsze to czynił na kolędę, i przed wielkanocą, — przywoził z kniei żywego dzika. Każdy się nadtem dziwił, i z dalekich okolic zbiegali się myśliwi, by zobaczyć tak osobliwego strzelca. Był przytém pobożny i uczciwy człowiek. Chłopstwo oskarżało go o czary, że ma związki z djabłem: lecz to wszystko kłamali wierutnie. Mój ojciec świętéj pamięci mieszkał o sześć mil od téj wioski, gdzie niedźwiednik przesiadywał. Po wesołym kuliku, z dziatwą zajechał i z matką naszą w tamte okolice. W dużych saniach siedziała pani matka i dwie dorosłe panny siostry; ojciec przy woźnicy sam powoził.

W ostatni wtorek, podochocony, wracał z nami wieczorem, a jechał żwawo, żeby doma na popielec stanąć. Za dużym lasem — pamiętam, jakby dzisiaj, bo miałem już lat dziesięć — iskrzyło się niebo od gwiazd mnóstwa, świecił i księżyc w pełni: tak widno było, że szeląg znaleść można. Nagle konie parskać poczęły, a nieboszczyk mój ojciec, wiedząc, co się święci, świsnął, i jak wiatr posunęły się na śliskim śniegu sanie.

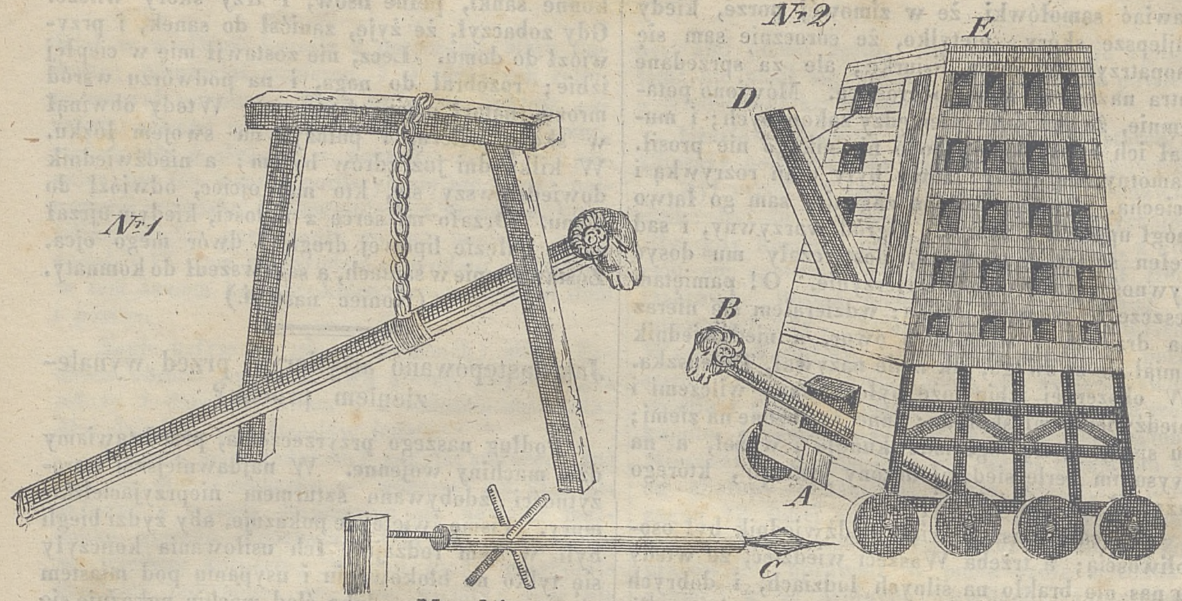
Wilków stado zabiegało nam z boku: skręcił końmi w inną stronę, i na nieszczęście w rowie wywrócił. Pamiętam dobrze jego słowa, kiedy wystraszony zawołał, podniósłszy sanie: prędzéj do sani! bo jeżeli nie ucekniem, zginiemy na zawsze. Matka i panny siostry, usiadły prędko: ruszył, co koń wyskoczy — a ja zagrzebany w śniegu, zostałem zapomniany. Zerwałem się na nogi, wychyliłem głowę; widziałem jak za ojcem pędzą wilcy, z przestrachu przysiadłem — sen mnie zmorzył, i zmarzłem. Kiedym otworzył oczy, zobaczyłem pierwszy raz w życiu niedźwiednika: nacierał mi twarz śniegiem: cztery ogromne kundle stały obok niego, a daléj, jednokonne sanki, pełne lisów, i trzy skóry wilcze. Gdy zobaczył, że żyję, zaniósł do sanek, i przywiózł do domu. Lecz, nie zostawił mię w ciepłéj izbie; rozebrał do naga, i na podwórzu wśród mrozu, natarł mocno śniegiem. Wtedy obwinął w skórę wilczą, i położył na swojém łóżku. W kilka dni już zdrów byłem: a niedźwiednik dowiedziawszy się, kto mój ojciec, odwiózł do domu. Drżało mi serce z radości, kiedym ujrzał suche gałęzie lipowéj drogi, i dwór mego ojca. Zostawił mnie w saniach, a sam wszedł do komnaty.

(Koniec nastąpi.)

Jak zastępowano artylleryą, przed wynalezieniem prochu?

Podług naszego przyrzeczenia, przedstawiamy dziś machiny wojenne. W najdawniejszéj starożytności zdobywano szturmem nieprzyjacielskie mury. Pismo święte nie pokazuje, aby żydzi biegli byli w tym rodzaju. Ich usiłowania kończyły się tylko na blokowaniu i usypaniu pod miastem obozu warownego, lubo ślad machin pokazuje się w Mojżeszu, a mianowicie w słowach: „Lecz jeżeli, które drzewa nie są rodzące owoc, ale leśne, i na insze potrzeby służące; wytnij a sporządź machiny, aż dobędziesz miasta, które przeciwko tobie walczy.“ (V. 20 20). Jest także rzeczą pewną, iż za czasów Homera, niewiedziano nic o tych wielkich dziełach sztuki. O ileżby ten ojciec poetów obrazami tak wspaniałych gmachów umiał zbogacić swoje boskie pienia. Postęp w tym wydziale szedł z wolna. Pierwsze powstały drabie różnego rodzaju: niektóre były z kołami na górze, aby się dały po murze wtaczać. Czasem też w końcach pierwszego szczebla od wierzchu, wiązano dwie liny, przewlekano je na bloki przy wierzchołkach dwóch wkopanych słupów, ciągnięto, aż drabie stanęły prostopadle przy słupach, potem zbliżone ku murowi, lekko opuszczano, dopokąd się nieoparły, jak trzeba było.

Ciekawszy od tych drabi był manewr wojska, który je zastępował, to jest tak zwany żółw wykonywany nieraz przez Greków i Rzymian. Silniejsi i wyżsi, przyklękali na jedno kolano i trzymali swoje tarcze na ramionach, za tymi niżsi, a przy samym murze najwyżsi okrywali się w ten sam sposób, ale stojący; na ten most żywy wchodzili najlżejsi zasłaniając głowy także tarczami. Jeżeli przy murze był przekop wodą zalany, natenczas podprowadzano łodzie i na nich formowano takiego żółwia. Oczywistą więc jest rzeczą, iż mury u starożytnych, nie były tak bardzo wysokie, skoro człowiek stojący na człowieku, mógł się na nie wdrapać. Do przełamywania murów, używali Grecy i Rzymianie tak zwanego barana, czyli tarana, który jest przedstawiony w pierwszym obrazku. Nie tylko łeb, ale i cały drąg bywał pospolicie z żelaza. Jeśli szturmujący mogli być rażeni z murów, natenczas robiono mocną budę na kołach, w niéj obsadzono barana i pod-



Machiny wojenne.

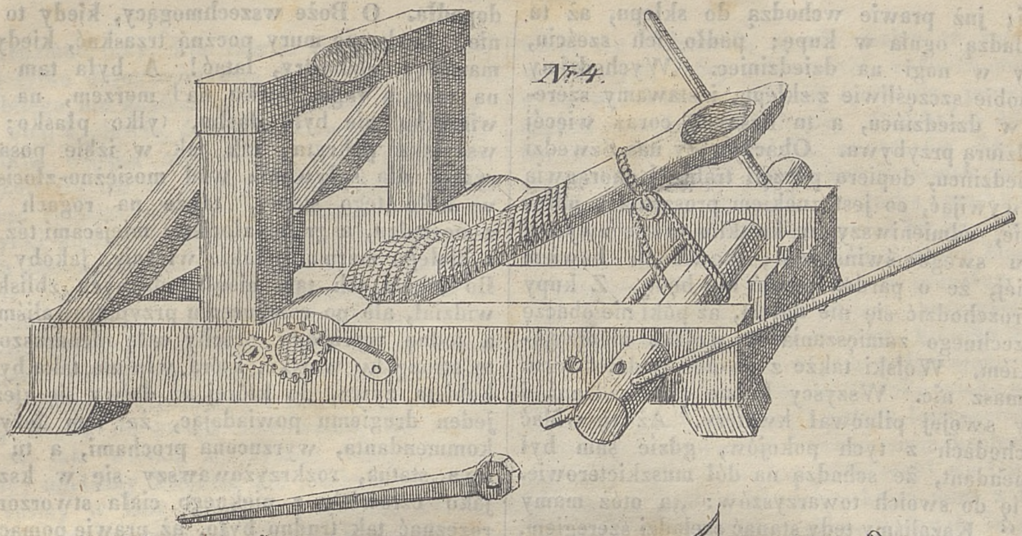
jeżdżano bezpiecznie. Jakkolwiek taki drąg żelazny ma w uderzeniu wielką siłę, jednak na tęgie mury małoby skutkował, i dla tego tylko mógł być tak przydatny u starożytnych, że cegły kładli jedynie na glinę, a czasem nawet używali i prostéj surówki.

Obmyślano także sposoby do zniweczenia barana: zrzucano z miasta ciężkie kłody, tak, iż mu łeb przycisnęło do ziemi, albo go też rodzajem obcęgów, umyślnie na to robionych, za kark chwytano, i do góry podciągano.

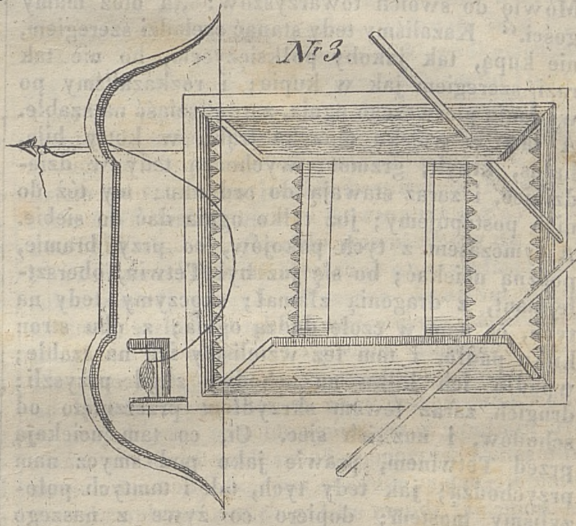
Z tarana okrywanego budą, powstała z czasem machina olbrzymia. Pierwszą miał zbudować niejaki Diodes z Abdery. Przedstawia ją obrazek No 2. Była to wieża, któréj podstawa wynosiła czasem do dziesięciu tysięcy stóp kwadratowych, wysokości miewała 180 stóp; była nieraz o 9ciu piętrach i stała na 8miu kołach, których średnica 16 stóp dochodziła. Często 3 strony tego gmachu obijano blachami, aby się ogień jąć nie mógł. Każde piętro miało dwoje wschodów, aby wychodzący nieprzeszkadzali wchodzącym. Trzeba było 3400 ludzi do podciągnięcia tego ciężaru. Przy grze szachów, figury stojące na skrzydłach drugiego szeregu, nazywają się wieżami, i mają wystawiać te machiny. Na samym dole wieży, przy A. mogli pracować podkopywacze, w wyższém piętrze bito taranem B, albo też wiercono dziury świdrem C; dalej ku gorze mieścili się ci, co walczyli przeciw obrońcom i spuszczali pomost D. Na dnie wierzchowym E osadzano machiny do rzucania mnóstwa strzał, za jednym razem. Najprostszą machinę, w tym celu używaną, przedstawia obrazek No. 3.

Ważną także bardzo była machina odrysowana pod Nrem 4. Służyła ona do rzucania kamieni, w linii pałękowatéj. Ciężar 4 do 5 centnarów niosła dobrze na 1000 kroków.

Było jeszcze mnóstwo innych machin, któremi rzucano strzały, pociski, lub kamienie. Starożytni i jedne i drugie nazywają raz katapultami, drugi raz balistami, tak, iż zdaje się, że sami między niemi różnicy nie robili. Z tych machin, niektóre były bardzo pokombinowane, potrzebowały umiejętnych budowniczych, i zręcznéj posługi w czasie boju. Z tego powodu niektóre greckie nieprzeszły do drugich narodów; inne znowu powstały u Rzymian i u nich zaginęły. Wieża zaś w tym kształcie, w jakimeśmy ją przedstawili w Nrze 2. i katapulta czy balista N. 4. przetrwały począwszy od starożytnych, aż do wynalazku prochu. Henryk Święty używał ich przeciw Bolesławowi Wielkiemu, a mianowicie przy oblężeniu Niemczy (Nimptsch w Szląsku). Są tacy, którzy utrzymują, że za ich pomocą ten sam Bolesław zdobył Kijów. Pewno zaś jest, że były używane za Władysława Hermana: wszyscy kronikarze i historycy podają jednozgodnie, że roku 1092, kiedy Polacy oblegali Nakło, krążyły między nimi wieści, że częste stawania w nocy pod bronią, pochodzą ze sztuki czarnoxięskiej przez złe duchy, które w pancerzach ze szyszakami, tarczami, zupełnie zbrojno miały napastować i poruszać straże obozowe, a potém, jak mgła w powietrzu ginąć. Kiedy te zabobonne wieści były już ustalone, Pomorczykowie zrobili nocną wycieczkę z Nakła, wpadli do obozu polskiego, i popalili przygotowane do szturmu wieże ze staro-niemieckiego buksztelle lub baszty zwane, i kusze, to jest machiny w obrazku N. 4. przedstawione. Za tego samego króla, Sieciech, Hetman, z królewiczem Bolesławem Krzywoustym, odbierał szturmem za-



Machiny wojenne.



Machiny wojenne.

mek Międzyrzecki, opasowany przez Pomorczyków i miał także używać wieży i kuszy.

Bolesław Krzywousty przez całe swoje panowanie, dokazywał bardzo wiele temi machinami. Na Pomorzu kwitnęło handlowe miasto Białogród czyli Belgrad. Ten xiążę posłał mieszkańcom dwa puklerze do wyboru: czerwony miał wojnę a biały pokój oznaczać; oni przyjęli obadwa, z oświadczeniem, że po wojnie pragną pokoju. Przed murami i za murami, gotowano się do walki: Polacy sposobili pokłady i snopy witkowe do zarzucania przekopów. Bolesław każdemu oddziałowi i niemal każdemu człowiekowi objaśnił, czego i jak miał pilnować. Otoczono zamek, podciągnięto wieże, kusze i budy, które osłaniały podkopywaczy; i naraz zaczęto rozdrapywać fundamenta, rozbijać taranami środki, i okrywać pomostami wierzchy murów. Szły ogromne kamienie. Pomorzanie w odwecie zwalali wielkie kłody i inne ciężary; puszczali pociski i strzały, lali wrzącą wodę i smołę, ale miasto zostało wzięte, a całe Pomorze ulękło się ogromnych machin.

Ktoby chciał mówić, że Polacy dawniéj nie byli w stanie wystawić tak ogromnego gmachu, jakim była wieża, temu odpowiemy, aby wspomniał na stare kościoły, a zapewne przestanie się kłopotać o zdolnych budowniczych.

W kronice szląskiéj Joachima Kureusza czytamy, że w Czechach podczas wojen husytskich, przy szturmie zamku, który po Niemiecku nosi imię Karlstein, oblegający rzucili kuszami 2000 beczek, napełnionych porąbanemi trupami i inną nieczystością, przez co tak zepsuli powietrze, że powstała zaraza szkorbutowa, i obleżeni zęby postradali.

Z tego opisu machin, możemy wziąść naukę, że proch nie przyniósł tyle złego między ludzi, ile niewiadomi sztuki wojennéj przypisywać mu zwykli. Owszem proch ma tę zasługę, że hukiem przeraża, ale tak bardzo straszny nie jest. J. M.

Wyimki z Pamiętników Paska.
Rok 1658.
Wyprawa do Danii.
(Dalszy ciąg.)

Kiedy już końce owéj kraty widać, radziśmy, bo tu już grad kul na nas nie pada; roskosz, by coprędzéj wnijść pod dach, ale że nie było czém owéj kraty wyważyć, musieli jeszcze daléj rąbać. Skoro mógł się jeden zmieścić, aż ja każę czeladzi włazić po jednemu. Wolski, jak to chłop chciwy, żeby to wszędy być wprzód, rzecze: „ja wlézę.“ Tylko wlazł, a Szwed go tam za łeb. Krzyknie. Ja go za nogi; tam go do siebie zapraszają; my go téż tu nazad wydzieramy; ledwieśmy chłopa nie rozerwali; woła na nas: „dla Boga, już mię puśćcie, bo mię rozerwiecie!“ Krzyknę ja na swoich: „Dajcie w okno ognia. Włożyli tedy kilka bandoletów w okno i dali ognia; zaraz Szwedzi puścili Wolskiego; dopieroż my po jednemu owém oknem leźli; już nas tam było z półtorasta; tymczasem idzie kilka rót muszkieterów, co to znać ztamtąd

uciekli; już prawie wchodzą do sklepu, aż tu nasi dadzą ognia w kupę; padło ich sześciu, drudzy w nogi na dziedziniec. Wychodzimy tedy sobie szczęśliwie z sklepu, i stawamy szeregiem w dziedzińcu, a tu naszych coraz więcéj ową dziurą przybywa. Obaczywszy nas Szwedzi na dziedzińcu, dopiero poczęli trąbić i chorągwią białą wywijać, co jest znakiem proszenia o miłosierdzie, odmieniwszy w krótkim czasie zwyczaj narodu swego świńskiego; powiadali bowiem dawniéj, że o pardon prosić nie będą. Z kupy tedy rozchodzić się nie dałem, aż póki nie obaczę powszechnego zamięszania w wojsku nieprzyjacielskiém. Wolski także z swoimi w dziedzińcu. Nie masz nic. Wszyscy ludzie porozsadzani, i każdy swojéj pilnował kwatery. Aż tu widać po schodach z tych pokojów, gdzie sam był kommendant, że schodzą na dół muszkieterowie. Mówię do swoich towarzyszów: „a otóż mamy gości.“ Kazaliśmy tedy stanąć czeladzi szeregiem, nie kupą, tak jakoby półksiężycem, bo nie tak razi szeregiem jak w kupie; i rozkazaliśmy po wydaniu pierwszego ognia, zaraz wziąść na szable. A tam w wojsku muzyka trąbi, w kotły biją, hałas, krzyk, grzmot; wychodzą tedy w dziedziniec, i zaraz stawają do ordynku; my téż do nich postępujemy; już tylko ognia dać do siebie. A tymczasem z tych pokojów, co przy bramie, poczną uciekać; bo się już był Tetwin, obersztlejtnant, z dragonią złamał; skoczymy tedy na tych, co nam w czole dadzą ognia; z obu stron kilku padło, i tam téż wzięliśmy ich na szable; wpadło ich kilku na schody, zkąd przyszli; drugich zaraz lewém skrzydłem przerznięto od schodów, i nuż ich siec. Ci, co tam uciekają przed Tetwinem, prawie jako pod smycz nam przychodzą; jak tedy tych, tak i tamtych położyliśmy mostem; dopiero co żywe z naszego rycerstwa w rozsypkę, w rabunek po pokojach; po tych tamto kątach zamkowych biorą, ścinają, gdzie kogo zastaną, i zdobycz wynoszą. Gdy się to dzieje, wchodzi téż Tetwin z dragonią, rozumiejąc, że najpierwszym w zamku będzie, a tu trupa leży moc, a nas tylko z piętnastu stoi towarzystwa; bo się już od nas porozbiegali, i żegna się, mówiąc: „a tych ludzi kto narznął, kiedy was tu tak mało.“ „My,“ odpowiedział Wolski; „ale i dla was będzie, ono wyglądają z wieży.“ A wtém prowadzi tłustego oficera młody wyrostek. Ja mówię: daj sam, zetnę go; on prosi: niech go pierwéj rozbiorę, bo suknie na nim piękne, pokrwawią się. Rozbiera go tedy; wtém przyszedł Adamowski, towarzysz krajczego koronnego Leszczyńskiego, i mówi: panie bracie, gruby ma kark na waszmości młodą rękę; zetnę ja go. Targujemy się tedy, kto go ma ścinać, a tymczasem wpadli nasi i do sklepu, w którym były prochy w beczkach; pobrawszy insze rzeczy, biorą téż i prochy w czapki, w chustki, kto w co ma. Dragon zdrajca przyszedł z luntem zapalonym, i bierze téż proch, aż jakoś iskra dopadła. O Boże wszechmogący, kiedy to huknie! kiedy się mury poczną trzaskać, kiedy owe marmury, alabastry, latać! A była tam wieża na samym rogu zamku nad morzem, na któréj wierzchu nie było dachu, tylko płasko; cyną wszystka pokryta, tak jak w izbie posadzka; rynny dla spływania wód mosiężno-złociste, a w koło tego statuy, także na rogach takież z mosiądzu, a grubo-złociste; miejscami téż osoby z białego marmuru, takie właśnie, jakoby żywe. Bo lubom ich tam nieuszkodzonych zbliska nie widział, ale po rozrzuceniu przypatrowaliśmy się; a jednę wyrzuciły prochy całą nienaruszoną na tę stronę ku wojsku, która właśnie taka była jak kobieta żywa, do któréj na dziwy się zjeżdżali, jeden drugiemu powiadając, że tam leży żona kommendanta, wyrzucona prochami, a tu leżała owa statua, rozkrzyżowawszy się w kształcie, jako człowiek z pięknego ciała stworzony, że rozeznać tak trudno było, aż prawie pomacawszy dopiero twardość kamienną.

Na wieży, albo raczéj sali, królowie uciechy swoje miewali, kolacye jadali, tańce i różne odprawiali zabawy, bo jest w ślicznem bardzo położeniu; może z niéj wszystkie prawie królestwa swego widzieć prowincye, ale i część Szwecyi widać. Tam na tę wieżą kommendant i wszyscy, co przy nim byli, uciekli, i ztamtąd o darowanie życia, lubo nierychło, prosili; co mogliby byli otrzymać, ale te prochy, które właśnie pod tą wieżą zapaliły się, wyniosły ich bardzo wysoko, bo wszystkie owe porozsadzawszy piętra, jak ich wziął impet, to tak lecieli do góry, przewalając się tylko przed dymem, że ich okiem pod obłokami nie mógł dojrzeć; dopiero zaś impet straciwszy, widać ich było lepiéj, kiedy nazad powracali, a w morze jako żaby wpadali. Chcieli niebożęta przed Polakami uciec do nieba, aleć ich tam nie puszczono; Piotr święty przywarł zaraz fórtkę, mówiąc: „A wszak wy zdrajcy powiadacie, że świętych łaska na nic się nie przygodzi, instancya ich do Pana Boga nieważna i niepotrzebna; w kościołach w Krakowie chcieliście stawiać konie, strasząc Jezuitów, aż wam musieli nieboraczkowie złożyć się na okup jako poganom; teraz częstował was Czarniecki pokojem i zdrowiem chciał darować, pogardziliście. Pamiętacie, coście w Sandomierskim zamku zdradziecko prochy na Polaków posadzili, a przecie i tam Pan Bóg obronił od śmierci, kogo miał obronić; wyrzuciły prochy pana Bobole, ślachcica tamecznego, i z koniem aż za Wisłę na drugą stronę, a przecie zdrowy został; i teraz strzelaliście gęsto, a nie wieleście Polaków nabili; czemu? bo ich aniołowie strzegą, a was czarny, a toż macie jego usługę.“ Miły Boże, jakie to sprawiedliwe sądy twoje! Szwedzi naszym Polakom tak wyrządzili w Sandomierzu, zasadziwszy miny zdradziecko w zamku. A tu sami na się zbudowali tę samołówkę, bo im to nasi nie z umysłu uczynili, ponieważ i samych tenże przypadek pożarł ze dwunastu.

Nie wiedziano tedy, kto tam z naszych zginął, ale się tylko dorozumiewano, kiedy ani żywego, ani zabitego nie znaleziono. Widzieli ten przypadek obaj królowie, duński i szwecki; widziały wszystkie wojska cesarskie i brandenburgskie, ale rozumieli, że to Polacy tryumf jakiś czynią na cześć Bożego narodzenia. Radziejowski tedy i Korycki powiadali królowi szwedzkiemu, przy którym jeszcze natenczas byli, że to coś inszego; niemasz tego u Polaków w zwyczaju, tylko na wielkanocne święta. Po oném szczęśliwém zwycięztwie, zrobiwszy tę robotę prawie we trzech godzinach, zaraz tam osadził na téj fortecy wojewoda kapitana Wąsowicza z ludźmi. Poszliśmy nazad, każdy do swego stanowiska, bo trzeba było w tak wielką uroczystość mszy świętéj słuchać; mieliśmy księdza, ale nie było apparatu. Jeno cośmy w lasy weszli, aż księdzu Piekarskiemu wiozą apparat, po który był nocą wyprawił. Tak tedy stanęło wojsko; nagotowano do mszy na pniaku ściętego dębu, i tam odprawiło się nabożeństwo, napaliwszy ogień do rozgrzewania kielicha, bo mróz był tęgi. Te Deum laudamus śpiewano, aż się po lesie rozlegało. Klęknąłem księdzu Piekarskiemu służyć do mszy; ucieszony ubieram księdza, aż wojewoda rzecze: „Panie bracie, przynajmniéj ręce umyj.“ Odpowie ksiądz: „Nie wadzi to nic; nie brzydzi się Bóg krwią rozlaną dla imienia swego.“ Spotykaliśmy potém naszych łóżnych, wiozących nam różny zasiłek. Gdzie kto swego zastał, tam siadł i jadł, z owego wczorajszego głodu. Wojewoda wesoło jechał, że to prawie niezwyczajnym przykładem, bez armaty i piechoty, wziął fortecę taką, co oboje mógłby był mieć od elektora blisko stojącego, ale fantazya w nim była, że nie chciał się kłaniać, ale żeby do niego samego ta należała sława, ufając w Bogu, porwał się i dokonał.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Alexander Gwagnin.

„Zmarnowanie drogich darów natury, zatracenie ich przez wstręt do pracy, i brak szlachetnego uporu w ich rozwinieniu i wzmaganiu, jest grzechem niewdzięczności przeciw naturze, jest wadą hańbiącą nas w oczach postronnych, którzy zkądinąd nie zaprzeczają nam szczodrych we wszelkim względzie natury uposażeń,“ wyrzekł Leon Borowski w życiu Euzebiusza Słowackiego, i wytknął podobno, najpospolitszą a najszkodliwszą wadę narodową: Że to nie jest złośliwa obmowa, ale niestety! szczera prawda, dowodzą pomiędzy innemi cudzoziemcy uczeni, dla Polaków o Polsce, najczęściéj w obcym języku piszący, a dzieła ich niekiedy, ważne bardzo do historyi polskiéj i innych nauk zawierają wiadomości. Do licznego ich szeregu należy także Alexander Gwagnin, którego wizerunek niniejsza rycina wystawia. Urodził się roku 1541 w Weronie. Odbywszy z chlubą nauki we Włoszech, i nie mając w zawodzie wojskowym, który sobie obrał, żadnych pomyślnych widoków w własnéj ojczyznie, postanowił szukać szczęścia na północy. Przybył w młodym bardzo wieku do Polski, za czasów Zygmunta Augusta, zaciągnął się do hufców wojsk polskich, odbył wyprawy, inflantską, wołoską i moskiewską, i jako biegły inżynier był przez lat 18 dowódzcą załogi w twierdzy pogranicznéj, z strony Moskwy, Witebsku. Rzeczpospolita za te przysługi przyjęła go pomiędzy swoje dzieci, zaszczyciła go indygenatem i opatrzyła chlebem, którego w ostatnich latach życia spokojnie zażywając, umarł w Krakowie roku 1614, w 76 roku wieku swego. Gwagnin pisał się Hrabią pałacu lateraneńskiego, rycerzem passowanym i rotmistrzem królewskim. Bardziéj atoli niż orężem, odznaczył się Gwagnin piórem; a kłótnia literacka, którą miał z kronikarzem naszym Stryjkowskim, wsławiła imię jego w inny jeszcze sposób. Stryjkowski, podkomendny jego, wyjeżdżając z poselstwem polskiem do Turcyi, zostawił Gwagniniemu, z którym w ścisłéj żył przyjaźni, raptularze swoje o Sarmacyi europejskiéj. Gwagnini nie omieszkał z nich korzystać, napisał dzieło w łacińskim języku i wydał w Krakowie roku 1578 pod tytułem: Sarmatiae Europae descriptio. Stryjkowski, powróciwszy do kraju, obwinił go o kradzież literacką, o przywłaszczenie sobie cudzéj pracy. Wszyscy ówcześni uczeni krajowi, sarkali na tak bezczelny czyn cudzoziemca; ale gniew ich uśmierzył się wnet, skoro się kronika Stryjkowskiego na świat ukazała. Różnica jéj od dzieła Gwagniniego, zbyt jest wielką, zbyt w oczy bijącą, aby Gwagniniego o kradzież literacką posądzać można. Nasamprzód układ obudwóch dzieł zupełnie jest odmienny; daléj, kronika Stryjkowskiego jest po polsku pisaną, Gwagniniego po łacinie; Stryjkowskiego wierszem przeplatana, Gwagniniego wszędzie prozą ułożona; w dziele pierwszego pełno nieładu, sprzeczności i anachronizmów; w drugim wszystko w jak największym porządku i w swojém miejscu. „Gwagnini“ — mówi Gołębiowski w dziele o dziejopisach polskich —„nie stworzył nic nadzwyczajnego, ale usiłował w niewielkim foliale objąć dzieje każdéj prowincyi rzeczpospolitę polską składającéj, wyłuszczyć jeograficzną nomenklaturę i dać o kraju dobrą wiadomość.“ Gdy tymczasem praca Stryjkowskiego niczem więcéj nie jest, jak, że tak powiemy, stósem materyałów, z których piszący dzieje krajowe wybór z największą ostróżnością czynić powinni. Wreszcie, że Gwagnini wolnym powinien być od zarzutu kradzieży, dowodzą następujące słowa, wyjęte z dedykacyi Zebrzydowskiemu, Wojewodzie Krakowskiemu, z dzieła jego w roku 1611 w polskim języku pod tytułem: Kronika Sarmacyey Europejskiéj wydanego: „W tych krainach, Sarmacyey europejskiéj, przez lat nie mało wiek swój trawiąc“ — mówi Gwagnini — „y wszystko moje jakiekolwiek staranie w rzeczach rycerskich, na po-



Alexander Gwagnin.

sługę téj Rzeczypospolitéj obracając, nigdy nie zabiegałem o mój użytek, ale o honor i dobro Rzeczypospolitéj (a to acz częstokroć gdzie indziéj, na różnych expedycyach przeciwko przyległym nieprzyjaciołom koronnym, jako w Inflanciech, w Włoszech, w Moskwie) osobliwie jednak gdy wielkie a sławne xięstwo litewskie, od wielkiego kniazia Moskiewskiego, wojnami i najazdami było trapione, tam ja na zamku witebskim, który jest przy granicy Moskiewskiéj, przez lat 18 rotmistrzem będąc, urząd mnie zlecony, jako najlepiéj mogąc, z pilnością odprawowałem: tak jako i wiary méj całe a zupełne dochowanie, i Rzeczypospol. koronnéj dostojność, i miejsca potrzebna sposobność wyciągała: a za długim zwyczajem języka, obyczajów, postępków i praw koronnych przyuczywszy się, wszystkichem krain Sarmacyéj europejskiéj położenie, po większéj części z własnego mego doświadczenia przewiedział, i na oko obaczył. Zaczem na on czas urywając nieco czasu z ustawicznych igrzysk Marsowych, teraz też już w łabęcim prawie pierzu, wytchnąwszy od prac moich i kunsztów zwykłych wojennych, kruciuchne zebranie spraw na świecie, wiadomości godnych, żołnierskim piórem uczynić pilnuchno umyśliłem.“

Byłżeby tak bezczelnym, aby pracę cudzą tak śmiele i témi wyrazami za swoją udawał. — Gwagnin wydał następujące dzieła:

1. Sarmatiae Europae descriptio. Cracoviae 1578. f.
2. Rerum polonicarum tomi tres. Francoforti 1584 in 8vo. Dzieło to przełożone przez Paszkowskiego na język polski, kosztem i staraniem Gwagnina, wydane zostało w Krakowie 1611 pod tytułem: Kronika Sarmacyey Europejskiéj.
3. Gesta praecipua, tyrannisque ingens Monarchae Moscoviae nuper perpetrata. Spirae 1581. — Jestto to samo pismo, które Stefan Batory Iwanowi Wasilewiczowi posłał, mówiąc: „Niech czyta i wie, co o nim w Europie piszą.“

J. Ł.

Piosnki gminne.

Wszyscy się żenicie, wojny się boicie,
A ja nieboraczek, muszę być wojaczek.
Niemasz ci to, niemasz, jako na wojeńce,
Pałasik przy boku, karabinek w ręce.
Mundur ze szlifami, zajął serce moje
Teraz o dziewczęta już wcale nie stoję.
Nie płaczcie dziewczęta, choć w wojnie chłopczęta,
Po skończonéj wojnie, każda swego pojmie.

Oj, przyjechało trzech hułanów z wojny,
Oj, pytali się o nocleg spokojny,
Oj, napadli też gospodę spokojną,
Oj, pytali się o dziewczynę strojną,
„Oj, czyście jéj tam nie widzieli w polu,
„Co to wybierała pszeniczkę z kąkolu?“
Oj, widzieliśmy, ma na głowie wianek,
My rozumieli, że Krakowski zamek.

A ja jichał wedle lasa, wedle lasa
Zginęła mi z worem kasa, z worem kasa:
A ja za nią torem, torém
Aż znalazłem kasę z worem, kasę z worem;
Teraz dzieci jedźcie kasę, jedźcie kasę,
Bo ja kocham matkę wasę, matkę wasę.

Ja Wielkopalan da dana,
Ja Wielkopolan,
Nie będę ja czapki zdejmał,
Do pańskich kolan da dana
Do pańskich kolan.

Z końcem roku drugiego istnienia Przyjaciela Ludu uprasza niniejszém Wydawca łaskawych Czytelników, aby wcześnie w najbliższych sobie Król. Pocztamtach lub Księgarniach przypadającą na następujące półrocze prenumeratę, w kwocie 1 Tal. 7½ sbrgr. (7½ złtp.), jak najspieszniéj złożyć raczyli, niechcąc doznać przerwy w odbieraniu co tydzień regularnie wychodzących Numerów.

Leszno, dnia 11. Czerwca 1836.

Ernest Günther,
Księgarz i Typograf.